

Korona z gwiazd

Był sobie dawnymi czasy król, który rządził rozległym i bogatym krajem. Miał on dwóch dorastających synów – bliźniaków. Obydwaj królewicze byli dzielni i sprawiedliwi, co bardzo cieszyło starego ojca, lecz było także przyczyną zmartwienia. Nie wiedział bowiem, którego ze swoich synów uczynić ma następcą tronu i powierzyć mu panowanie nad krajem.

Jeden i drugi nadawał się do tej roli znakomicie, jeden i drugi był zarówno pilny w naukach, udzielanych im przez starego mistrza Jana, jak i biegły w rycerskim rzemiośle. Lecz odwiecznym obyczajem król mógł być tylko jeden, a ojciec nie miał serca skrzywdzić żadnego z synów – gryzł się przeto niezmiennie.

Mijały lata, król był coraz starszy i wiedział, że niedługo przyjdzie mu pożegnać się z tym światem. Wezwał więc do siebie mistrza Jana, który był nie tylko nadwornym nauczycielem, ale też najmądrzejszym spośród królewskich doradców i rady jego już niejednemu raz wybawiły królestwo z wielkiej opresji.

- Mistrzu Janie – powiedział król, gdy tylko ten stawiał się przed nim – znam twoją roztropność i cenię sobie rady. Poradź mi przeto, co mi wypada uczynić. Obaj moi synowie nadają się na króla, żaden z nich nie ma przywileju starszeństwa. Któremu z nich mam powierzyć koronę?

Mistrz Jan zafrasował się, bo pytanie było trudne. Znał doskonale królewiczów i o jednym i drugim miał jednakowo dobre zdanie. Myślał długą chwilę, nawijając na palec koniec siwej brody (zawsze tak czynił, kiedy głęboko się nad czymś zastanawiał), a król tymczasem nie mógł spokojnie usiedzieć z niecierpliwości. Wpatrywał się z natężeniem w zadumane oblicze mistrza, aż ten nareszcie rzekł:

- Najjaśniejszy panie, na północnym niebie widnieje gwiazdozbiór zwany Koroną. Niech królem zostanie ten syn, który zdejmie z nieba tę koronę i przyniesie ją tobie.

Zdziwił się król niezmiernie, bo rada wydała mu się cokolwiek osobliwa, ale przyzwyczajony był ufać bezgranicznie mistrzowi Janowi. Zawezwał więc natychmiast królewiczów i tak im nakazał:

- Synkowie moi, wiecie, jak was miłuję. Wszak tylko jednego z was uczynić mogę swoim następcą, a będzie nim ten, który zdejmie z nieba północnego Koronę z gwiazd i przyniesie ją mnie.

Dwaj królewicze, słysząc tak dziwną prośbę z ust ojca, zdumieli się niepomnie, ale jeszcze tego samego dnia dosiedli koni i posłusznie udali się w świat. Tuż za bramą miasta pożegnali się serdecznie i wyruszyli w dwie różne strony, aby poszukać sposobu zdjęcia z nieba owej Korony.

Pierwszy z królewiczów nie ujechał jednak zbyt daleko. Dopóki gościniec był szeroki i wygodny, jechało mu się dobrze. Ale gdy tylko droga przestała być równa i bezpieczna, a w dodatku zaczął mu doskwierać głód i pragnienie, powiedział sobie tak:

- Po co mam właściwie dalej jechać? Toż to czyste szaleństwo przyszło ojcu do głowy, przecież i tak nic nie wskóram, nie dosięgnę nigdy gwiazd na niebie. Zatrzymam się w najbliższym mieście, poczekam trochę, a potem wrócę i powiem ojcu, że nie udało mi się zdobyć Korony. Mojemu bratu nie powiedzie się lepiej niż mnie, więc ojciec będzie musiał znaleźć inny sposób, aby rozstrzygnąć, który z nas jest bardziej godny królowania.

I jak powiedział, tak zrobił – zatrzymał się w pobliskim mieście i mieszkał tam dopóty, dopóki wystarczyło mu zabranych na drogę pieniędzy.

Drugi syn królewski jechał tymczasem dalej. Nie zniechęcił się, gdy skończyła się droga równa i prosta, śmiało podążał naprzód wąskimi, prawie że nieprzejezdnymi ścieżkami, rozmyślając przy tym, jak by tu dosięgnąć

owej gwiazdnej korony. Coraz dalej zapuszczał się w kraj, coraz więcej przeszkód napotykał na swej drodze i nieraz mu przychodziło do głowy, aby zawrócić, ale zaraz opędzał się od tej myśli.

I tak zajechał pewnego razu do stolicy sąsiedniej krainy.

Zaraz spostrzegł, że coś złego spotkało mieszkańców miasta. Na ulicach rozlegał się płacz i lament, ludzie, najwyraźniej czymś przestraszeni, kryli się po domach, zatraskując za sobą drzwi i okna, a co życzliwsi spośród nich, spostrzegłszy przybysza z dalekiego kraju, nawoływali za nim, aby czym prędzej zawracał.

Zajechał na królewski dwór i pokłonił się władcy, który siedział na tronie, bardzo czymś zafrasowany.

- Najjaśniejszy panie, jakie masz zmartwienie? Opowiedz mi, a może uda mi się pomóc tobie i mieszkańcom tego kraju – powiedział królewicz.

- Dzielny jesteś i sprawiedliwy, mój królewiczu – odpowiedział mu król - lecz posłuchaj mojej rady i wracaj czym prędzej do twego ojca, aby cię tutaj nie spotkało coś złego.

- Ale co takiego może mnie tu spotkać?

Więc król opowiedział mu smutną historię – oto straszliwy smok zamieszkał nieopodal miasta i dręczył co dnia mieszkańców. Był to smok – czarownik, który mógł wedle upodobania przybierać postać gada i człowieka, a w dodatku uważał się za najmądrzejszego na ziemi. Zapowiedział on, rycząc straszliwie, że dotąd będzie czyhał na życie króla i jego poddanych, aż mu nie dadzą za żonę królowny albo nie znajdzie się człowiek, który zada mu pytanie, na które nie będzie umiał odpowiedzieć.

- I tak – zakończył król – zabił on już wielu zacnych ludzi. Córka moja ofiarowała się wyjść za smoka – czarownika, aby tylko zostawił kraj w spokoju, ja jednakże nie mogę się na to zgodzić.

Młody królewicz zamyślił się i nagle zaświtała mu w głowie pewna odważna myśl.

- Królu – powiedział, nie zastanawiając się zbyt długo – ja pójdę i sprawię, że smok będzie musiał wynieść się stąd.

- Broń cię Boże, królewiczu! Nikomu nie udało się go pokonać, nie można go zabić.

- Bądź spokojny, panie. Gdzie mogę znaleźć gadzinę?

Nie pomogły prośby i błagania króla i jego córki, którą monarcha zawezwał na pomoc, aby odwiodła młodzieńca od szalonych zamiarów. Królewicz uparł się, a gdy zobaczył śliczną królową i pomyślał, że miałyby ona zostać żoną czarnoksiężnika, w dodatku w smoczej skórze, utwierdził się tylko w swym postanowieniu.

Wyruszył zaraz i przed wieczorem dotarł do pieczary, w której mieszkał smok.

- Hejże! Jest tam kto?! – zawołał prosto w ziejący chłodem i czernią wylot jaskini.

Z głębi pieczary wydobył się straszliwy ryk i po chwili wypełzło z niej wielkie smoczysko. Zmierzyło pogardliwym spojrzeniem królewicza.

- Czego chcesz, człowieku? – zapytał smok, mrużąc wąskie ślepia.

- Chcę ci zadać pytanie – jeśli na nie odpowiesz, uznam, że jesteś najmądrzejszym na ziemi. Lecz jeśli nie, wyniesiesz się z tego kraju na zawsze.

- Ha ha ha! Ha ha ha! A to dobre! – zarechotał smok – wiedz o tym, że jestem potężnym czarnoksiężnikiem i znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Jeśli istotnie zadasz mi takie, na które nie znajdę odpowiedzi, to wyniosę się z tej krainy. Lecz jeśli odpowiem, biada ci! No pytaj!

- A więc, powiedz mi, o przemądry smoku, w jaki sposób mogę zdjąć z nieba północnego koronę z gwiazd i zawieźć ją mojemu ojcu?

Smok wpatrzył się w królewicza z natężeniem. Zamyślił się głęboko, począł się drapać po łbie i stukać pazurem w czoło, ale nie mógł niczego wymyślić. Pobiegł do swojej pieczary i zaczął przewracać karty wszystkich magicznych ksiąg, jakie tylko miał, ale tam również nie znalazł odpowiedzi na pytanie królewicza. W końcu doszedł do straszliwego wniosku, że nie zna odpowiedzi na to pytanie!

Wrócił więc wściekły do czekającego nań młodzieńca.

- Coś podobnego! – zaryczał – a niech cię!... – i nagle zerwał się z miejsca, aż się zakurzyło, i poleciał za lasy, za góry, za morza...

Od tej pory już nikt nigdy go nie zobaczył.

A królewicz wrócił do miasta, oznajmiając jego mieszkańcom radosną nowinę. Gdy usłyszał ją król, uściskał młodzieńca, a potem powiedział:

- A więc wybawiłeś nas wszystkich, a szczególnie moją córkę. Mniemam, że rada będzie więc poślubić tego, kto ją wyratował.

W niedługi czas potem odbyło się huczne wesele, a po weselu królewicz postanowił zabrać swoją żonę i pojechać do ojca. Bez korony co prawda, lecz królewiczowi aż tak bardzo znowu nie zależało na tym, aby zostać następcą tronu. Wybrali się więc w drogę i złożyło się tak, że w tym samym dniu wrócił do domu i jego brat – bliźniak.

Obaj stanęli więc przed ojcem, który cieszył się ogromnie z ich szczęśliwego powrotu – i z tego, że nareszcie dowie się, który z synów zostanie jego następcą.

- I cóż, moi synowie? Który z was przyniósł mi gwiazdną koronę? – zapytał na powitanie.

- Ojcze – odezwał się ten, który nie ujechał daleko - długo myślałem, jak tego dokonać, ale nie wymyśliłem niczego. To jest po prostu niemożliwe!

Król zmarszczył brwi i popatrzył na drugiego królewicza.

- A ty, mój synu? – zapytał z nadzieją.

- Ja także nie przywiozłem ci korony, lecz posłuchaj, ojcze, co takiego mi się przydarzyło – i królewicz opowiedział o swoich przygodach, a następnie przedstawił swoją żonę.

Król dumny był z syna, lecz zmartwił się, że rada mistrza Jana nie okazała się trafna, bo nadal nie wiedział, któremu z braci ma powierzyć królestwo.

- Cóż ty na to, mistrzu? – zapytał Jana, który ku jego zdziwieniu uśmiechał się szeroko.

Ten zaś odpowiedział:

- Królu, nie dziwi mnie, że żaden z młodzieńców nie przywiózł ci korony z nieba, jest to bowiem rzeczywiście niemożliwe. Ale dążąc wytrwale nawet do niemożliwego celu i patrząc w niebo, po drodze dokonać możemy i zyskać o wiele więcej rzeczy, niż nie dążąc do niczego. I tylko jednemu z twoich synów to właśnie się udało, on przeto powinien zostać zwycięzcą.